

A photograph of a small round metal table and two chairs against a blue wall. The table is in the center, and the chairs are on either side. The background is a solid blue wall with a vertical seam. The floor is a light-colored concrete or stone.

GABRIELA ZAPOLSKA

Koteczek


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

GABRIELA ZAPOLSKA

MENAŻERIA LUDZKA

Koteczek

— Co chcesz do herbatki, koteczku?

— Cokolwiek!...

— Ale przecież!...

— Coś taniego!...

— Może szynki?...

— Hm!... Zaraz trzeba brać pół funta.

— Po co? Dla mnie nie trzeba, ja mam jeszcze pieczeń z obiadu!

— Tak?... Ale zawsze to już duży wydatek, nie! — nie potrzeba. Zjem bułeczkę z masłem, mnie to wystarczy zupełnie. Zresztą oszczędzać musimy, daleko jeszcze do końca miesiąca...

Młoda kobieta spojrzała z uwielbieniem na męża.

Jej koteczek byłby w stanie zagłodzić się z oszczędności, gdyby ona na to pozwoliła. Prawda, że pensyjka bardzo szczupła, gratyfikacji nie ma podobno żadnych, a procent z jej posagu zaledwie piąty.

Przynajmniej tak koteczek powiada.

A co kotucho powie — to święte. Żona ślepo ufać powinna mężowi. Tak ją od dziecka uczono.

Tymczasem koteczek przeczytał „Kuriera” i ziewając powstał z krzesła.

Był to wielki, rosły mężczyzna, szeroki w plecach, szeroki w karku, szeroki w czole. Zdrowie, siła były aż odurzającym zapachem z tych wspaniale rozwiniętych członków dobrze odżywianego człowieka, twarz mieniła się niemal różową cerą. Jasne, delikatne włosy uczesane dość starannie, zakrywały mu wielką łysinę, usta foremnie wykrojone miały w sobie zmysłową wilgoć, jakby od świeżych jeszcze pocałunków lub połykanych ostryg, oczy senne, o namiętym przywarciu powiek, patrzyły spod jasnych rzęs na wpół łagodnie, na wpół złośliwie.

Ręka biała, zgrabna, o długich kształtnych palcach, gładziła starannie uczesaną brodę, od której z daleka rozchodziła się woń aterińskiej wody.

Ubranie letnie, jasne, zdrowa cera, wreszcie cała postać, wyprostowana, nie zgarbiona, nie skurczona bynajmniej, nie miały cech charakterystycznych zwykłego biuralistę, spleśniałego w cuchnącej atmosferze wilgotnego biura.

Koteczek był wprawdzie urzędnikiem, ale jednym z tych pomocników buchaltera, którzy po biurach kolejowych śpią na ceratowych kanapkach lub zadają tłuste szarady do rozwiązania swym kolegom, za co pobierają pensję, a nawet i gratyfikacje.

Dziś — koteczek wrócił wcześniej trochę z biura, zjadł skromny obiadek, który sam zadysponował, ze smakiem, przespał się dwie godzinki wśród kościelnej ciszy na swej ulubionej sofie, a teraz, ubrawszy się, czytał „Kuriera” i czekał na herbatkę, którą mu żoncia poda.

Później pójdzie przejść się trochę.

Ona zostanie w domu, jutro pranie, bieliznę policzyć trzeba — wreszcie koteczek zwykle sam wychodzi.

Żoncia zostaje, już się do tego przyzwyczaiła. Teraz do herbaty przygotowuje chodząc jak cień w swych biednych, przydeptanych pantofelkach, taka chuda, mizerna, znędzniała przed czasem. Ma zaledwie dwadzieścia pięć lat, a trudno byłoby oznaczyć jej wiek, patrząc na zapadłe piersi, na żółte plamy dokoła oczu, na nos wąski, wydłużony, na całą

Mąż, Żona, Skąpiec

postać schyloną w tym bolesnym pochyleniu, właściwym chronicznie cierpiącym kobietom, które zasypiają obłożone mokrymi płacami, a melisę pochłaniają garncami prawie.

I teraz, gdy zdejmuje z półek kredensowych filiżanki i wyciera je czyściuchną serwetką, krzywi się boleśnie, tłumiąc jęk, który jej się na usta wydobywa.

Lekarz mówił, że cierpienie jej pochodzi głównie z braku sił, i zalecił buliony, stare wino, surowe mięso... ba! nawet wyjazd do Krynicy... Ale lekarzowi łatwo mówić. Skądże ona wziąć by mogła na takie zbytkowne rzeczy, ona, której koteczek z najwyższą trudnością zaledwie jest w stanie tę skromną kwotę co pierwszego na utrzymanie domu wręczyć?...

A potem, gdy zabraknie... A! niech Bóg zachowa! Koteczek nie doda ani grosza, choćby głodem zamrzeć przyszło. Pójdzie na spacer bez obiadu, bez herbaty, a nie doda nic, nawet z przyszłego miesiąca nie zaawansuje paru rubli...

Zapewne nie może.

Ona mu tego za złe nie ma. O! Gdzieżby znowu. Gdyby miał, to by dał... Koteczek ma przecież anielskie serce... niedawno kupił jej skórzaną broszeczkę za dwa złote; kiedyś znowu pozwolił jej... natrzeć włosy wodą ateńską.

O! Gdyby on miał, dodałby jej nieraz do miesięcznej pensji... raz nawet dał jej na to — słowo honoru — choć ona bynajmniej nie żądała takiego dowodu, ona wierzy mu we wszystkim.

Tylko — jakże to można pozwolić, aby koteczek jadł do herbaty samą bułeczkę?!...

Trzeba posłać po szynkę koniecznie, choćby się miał rozgniewać, zresztą ona wie, że koteczek pokrzepić się musi, wszak większe pół dnia w biurze pracuje!

A wiadomo, biuro strasznie zdrowie niszczy. Podobno nawet suchoty¹ sprowadza.

Nie!... Bóg by nie był tak Nielitościwy i nie zabrałby jej koteczka — nie nawiedziłby go tak strasznym cierpieniem. Tak! Tak! Trzeba, żeby się mężuś lepiej odżywił, trzeba po szynkę posłać koniecznie.

Biegnie do komody, odsuwa szufladę, wyjmuje ostatniego rubla i chwilkę stoi zafrasowana. Cóż będzie z jutrzejszym obiadem?

E! — poradzi sobie, już wie, w jaki sposób. I uśmiechnięta, podskakując trochę, wychodzi do kuchni. Tymczasem stojący przy oknie mężczyzna odwrócił się i skrzyjąc butami przeszedł przez pokój. Dobył z kieszonki od kamizelki kluczyk, otworzył małą szafkę i spomiędzy porządnie poukładanego ubrania wy dostał niewielki pugilares². W pugilaresiku tym szeleściły banknoty. Otworzył go i spiesznie przerachował. Było tam około pięćdziesięciu rubli. Pugilares schował do kieszeni, wyjął cieniuchną chusteczkę, z baletniczkami po rogach zamiast monogramu, zmienił szpilkę u krawata, po czym zamknąwszy szafkę podszedł do toaletki.

Systematycznie zaczął czesać rzadkie włosy, przyciskając je lekko do różowej skóry, po czym wyjąwszy z szuflady puszkę z pudrem pudrował się lekko, starannie ścierając welutinę z brwi, rzęs i wąsów. Puder osiadł na lekkim meszku, pokrywając policzki koteczka, tworząc w ten sposób na twarzy mężczyzny jakby krepową zasłonę. Po czym lekkim a wprawnym ruchem koteczek przyczernił sobie brwi i rzęsy za pomocą ołówka i odsunąwszy się od lustra, począł rozmaite podbójcze miny próbować.

Od kilku chwil otworzyły się cicho drzwi od kuchni i do pokoju wsunęła się żoncia.

W ręce trzymała szynkę zawiniętą w papier i w niemych uwielbieniu spojrzawszy na męża stanęła, przyciskając szynkę do piersi.

Wydawał się jej w tej chwili tak piękny, tak elegancki, tyle od niej wyższy dystynkcją i rozumem, i pięknnością, że wciąż stała zapatrzona w swoje bóstwo fryzujące sobie teraz wąsy maluchnym, rozgrzanym żelazkiem.

On, spojrzawszy przypadkowo na nią, dojrzał to uwielbienie malujące się w jej spłowiałych oczach.

— Hm, patrz! jakiego masz męża — rzekł z zadowoleniem.

Ona nie odpowiedziała nic.

Uśmiechała się tylko, prostując się także, jakby z dumy... urosnąć chciała.

— Możesz mnie pocałować — dodał z pobłażliwością — ale tu w szyję... o!...

¹suchoty (daw.) — gruźlica. [przypis edytorski]

²pugilares (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

Wyciągnął swą tłustą szyję dobrze zbudowanego blondyna i przymknął oczy z dobrotliwym uśmiechem.

Ona zbliżyła się szybko, zmieszana, niezgrabna, nie przyzwyczajona do częstych tego rodzaju pieścizot. Gdy znalazła się tuż przy nim, tak nędzna, mała, chuda, zmieszała się jeszcze więcej.

W lustrze widziała odbicie postaci swej i stojącego wciąż ze zmrużonymi oczyma męża.

Zawstydzila się samej siebie, swego wyniszczenia, swego skromnego szlafroka i stała niezdecydowana, cisnąc wciąż papier z szynką do zapadłej piersi.

Lecz on zniecierpliwiał się wreszcie.

— No, korzystaj, kiedy pozwalam...

Podniosła się więc na palce i cała spłoniona pocałowała go w klapę od jasnego żakietu, a silna woń *white rose*³, wydzielająca się z ubrania męża, odurzala ją do reszty.

Jak pijana zwróciła się do stołu, na którym zaczęła ustawiać talerzyk i rozkładać na nim szynkę.

Ręce jej drżały, widelca utrzymać nie mogła.

Była w tej chwili bardzo szczęśliwa.

Łzy jej oczy osłaniały mgłą wilgotną, serce biło w piersi bardzo żywo.

Tymczasem koteczek nałożył w eleganckie etui całą masę papierosów i z małej doniczki niezapominajek, stojącej przed obrazem Matki Boskiej, uszczknął gałązkę.

Gałązkę tę zatknął sobie w butonierkę i zasiadł do herbaty.

Żona podała mu filiżankę i nasmarowaną bułeczkę. Po czym, jeszcze cała zmieszana, z uśmiechem na pobladłych wargach, podsunęła mu talerzyk z szynką.

On — ze zdziwieniem poruszył umalowanymi brwiami.

— Szynka? — zapytał.

— Tak, kotku — proszę cię, jedz! — odpowiedziała nieśmiało.

— Zbytki! Zbytki!... — dodał, biorąc na talerz największy różowy platek. — Ale pamiętaj! Gdy zabraknie, nie dodam ani grosza! Ani grosza!

Lecz ona zaprotestowała.

— Nie bój się, wystarczy!... Jedz tylko! Proszę cię!

Krzątała się koło niego, podsuwając mu cukier, masło, śmietankę.

On — nawet nie zważał na tę usługę, snadź⁴ przyzwyczajony do tej troskliwości i niewolniczej czci, jaką go zwykle otaczała.

Jadł powoli, nie spiesząc się, odsuwając z daleka talerz z gracją i manierami aktorki, o której gazety piszą ciągle, że jest „dystygowana”. Wreszcie zapytał, nie podnosząc głowy:

— A ty?

— O, ja mam co innego — odpowiedziała kobieta.

Nastała znów chwila milczenia.

Jakże chętnie pragnęła żoncia zacząć jaką dłuższą z swym koteczkiem rozmowę.

Lecz o czym — o czym ona mówić mogła, pogrążona cała w drobnych kłopotach swego nędznego gospodarstwa, pomiędzy imbrykiem melisy a wiązką rzodkiewki? Instynktem zgadywała, że podobne przedmioty nie są odpowiednie dla jej eleganckiego koteczka, który w tej chwili tak delikatnie, tak ślicznie mieszał łyżką herbatę.

I w głowie tej kobiety powstała myśl bardzo zuchwała.

Gdyby tak koteczek zechciał dziś cały wieczór poświęcić dla niej, dla niej wyłącznie pozostać w domu!

Gorąco jej biło do głowy na samą tę myśl... jakże to byłby miły dla niej wieczór! Jakże jej szczęście byłoby zupełne!...

Ma wprawdzie liczyć brudną bieliznę, ale może to odłożyć do jutra...

Siedzi więc pochylona nad swoją filiżanką i w biednej głowie szuka zawzięcie sposobu, aby stać się miłą, rozmowną.

Wzrok jej pada na leżący na ziemi „Kurierek”.

— Co tam w „Kurierku”? — zapytuje niepewnym głosem.

— Przeczytasz sama — odpowiedział mąż. I znów nastaje milczenie.

³*white rose* (ang.) — biała róża (tu: nazwa perfum). [przypis edytorski]

⁴*snadź* (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

Kobieta prawie rozpaczliwie wodzi wzrokiem dokoła.

Tak mają mało spójni moralnej, że wszystkie jej wysiłki pozostają bez skutku. Wreszcie on wstaje, ociera starannie wąsy i raz jeszcze podchodzi do lustra.

Ona wie dobrze, co to znaczy.

Za chwilę koteczek wyjdzie, a ona zostanie sama! Na cały wieczór, na długi, smutny wieczór.

Zapewne — jest do tego przyzwyczajona, ale dziś szczególnie jej smutno. Wszak to dziś rocznica ich ślubu...

On o tym zapomniał zupełnie...

Lecz ona nie zapomniała i chce mu to powiedzieć, wszak dzień taki to prawie uroczyste święto... Lecz on wziął już kapelusz i elegancką laseczkę, teraz naciąga rękawiczki, pogwizdując lekko. Żona zbliża się ku niemu, przelękając z trudnością ślinę.

— Wychodzisz? — pyta, patrząc mu błagalnie w oczy, jak pies świeżo obity.

— Naturalnie!...

Ona przestępuje z nogi na nogę, ręce jej machinalnie wyciągają bryty szlafroka.

— Zostań w domu — prosi cichutko.

On odwraca ze zdziwieniem głowę.

— Po co?

Tym jednym pytaniem przybija ją do miejsca.

Tak! Prawda! Po co?

Taki strojny, mądry, piękny mężczyzna ma siedzieć w tych trzech kłatkach, których okna wychodzą na odludną ulicę...

Ona — ach! Ona to co innego!

Pragnie go jednak zatrzymać choćby chwilę jeszcze.

— A... co chcesz jutro na obiad? — pyta śpiesznie, wciskając głowę między ramiona.

— A!... co chcesz, byle tanie — odpowiada koteczek, otwierając drzwi do przedpokoju — najlepiej barszczyk, bo może późno wrócić...

Ona już nic nie odpowiada, tylko stoi na środku pokoju, smutna, zgnębiona — ujawniając w ostatnich blaskach zachodzącego słońca swą nędzę opuszczonej i oszukiwanej kobiety.

Nagle — porywa się i biegnie do okna.

On — będzie przechodził przez dziedziniec, zobaczy go jeszcze, może się uśmiechnie do niej, głowę odwróci...

— Nie!

Przeszedł przez dziedziniec pewnym i śmiałym krokiem, wywijając laseczką i pogwizdując lekko.

Dwie dziewczyny stojące koło pompy obejrzały się za nim ze znaczącym uśmiechem. Zniknął w ciemnej bramie, nie myśląc wcale o tym, że na drugim piętrze spoza białych pocerowanych firanek śledzą go oczy pełne łez i miłości, biedne oczy schorowanej kobiety, a żółtkle i spieczona usta szepczą z dumą i niewysłowionym uczuciem:

— Koteczek! Koteczek!

Siedziała tak w oknie z pół godziny. Była to jedyna chwila dnia, w której oddawała się próżnowaniu.

Wciągała zgniłe powietrze podwórka pełnymi piersiami i wpatrywała się w szmat nieba, który zarysował się ostro pomiędzy szczytami dachów.

W trakcie tego robiła myślą rachunek wydatków dnia całego i układała budżet na dzień następny.

A wszystkie jej myśli kręciły się tylko około jednego punktu.

Punktem tym był naturalnie... koteczek.

Od pierwszej chwili poznania rosły ten blondyn zaimponował jej i oczarował jej dziewczęcą istotę.

Gdy się oświadczył o nią, a właściwie o jej skromny posążek, nie mogła szczęściu swemu dać wiary.

Gdy odchodziła od ołtarza, już patrzyła na niego tym pokornym, błagającym wzrokiem, jak pies, którego po raz pierwszy na łańcuchu prowadzą.

Oddała mu się z pokorą i wdzięcznością, kryjąc rumieniec w dłoniach i szepcząc: „Kto się w opiekę”.

On — wspaniale, jak dobry książę z bajki, przyjął klejnot jej dziewictwa i pięć tysięcy rubli, które jako sierota złożone miała w kasie oszczędności.

Od tej chwili Józia o pieniądzach tych nie wiedziała nic.

Należały do niego, rozporządzał nimi według upodobania.

Ona welon oblubienicy zamieniła na fartuch ceratowy i rozpoczęła swą domową krzątaniem. Powoli on oddalał się coraz więcej z domu — wracał późno w noc, często podпиты, włócząc na drugi dzień po kątach mieszkania ten „katzenjammer”, w zamiejskich knajpach nabyty. Ona kochała go ciągle tym psim przywiązaniem kobiety, dla której pierwszy mężczyzna chwytający ją w objęcia jest zarazem jedynym przedmiotem uwielbienia.

Koteczek nie miał błędów, koteczek był najlepszym, najmiłszym, najpiękniejszym... Dzień, w którym koteczek kładł nowy garnitur, był dniem prawdziwego święta.

Wzruszona, zarumieniona, drżąca okrążała go w kółko, patrząc na niego z podziwem. Jakże piękny i jak zgrabny był jej koteczek!... Ona sama, mój Boże!... ona nie potrzebowała się stroić. Ot, byle co na siebie włożyć. Zresztą nigdzie przecież nie wychodziła z koteczkiem, nigdy — gdzież znowu!... Zawsze jej coś do stroju brakowało. To kapelusza, to bucika, to znów rękawiczki. I tak dzień za dniem schodził. Zresztą nie miała czasu ani zdrowia. Ciągle stękała, chorując już od lat czterech, zaraz po urodzeniu niezżywej dziewczynki. Doktor mówił, że to anemia, ale ona nawet w części nie powiedziała doktorowi, co i gdzie ją boli. Po co? Lekarstwa drogie, a ledwo koniec z końcem ściągnąć można...

Wprawdzie koteczek jest niewybredny, je, co mu podadzą — nawet ją samą do oszczędności zachęca.

Ona nieraz dziwi się, jak mało jada w domu ten rośły, wielki mężczyzna, i frasuje się, że widocznie jadło mu nie smakuje.

Mój Boże! Robi, co można przecież. Ona i służa jadają „plecówkę”, dla koteczka bierze się na rosół pierwszą krzyżową, masło także kupuje dla niego osobno...

Mimo to on je tak mało!

Byleby nie zachorował z tego braku apetytu... jutro trzeba upiec parę kurcząt i zrobić trochę sałaty...

Ostatni rubel wprawdzie wyszedł, ale Józia ma jeszcze dwa pierścioneczki z pozostałych po rodzicach drobiazgów.

Zastawi je u znajomej fanciarki i dociągnie w ten sposób do końca miesiąca.

Mój Boże!... Ile tam już rzeczy Józia spoczywa u tej fanciarki! I srebrne łyżeczki, i bransoletki po matce, i medalion z perełką, ba! nawet medal od chrztu, i srebrna portmonetka, złoty zegarek! Łańcuszek! Wszystko wyniosła tak wieczorami, gdy mąż wyszedł z domu, „przejść się trochę” — jak mówił — a wracał późno w noc, gwizdząc i śpiewając jakieś nie znane Józii piosenki.

Z początku przykro jej było rozstawać się z tymi drobiazgami, później oswoiła się z tą myślą.

Wszak to dla... koteczka.

Kochała go bardzo, bardzo, miłością schorowanej i zamkniętej w domu kobiety. Gdy słyszała jego kroki na schodach, serce jej biło bardzo silnie — w nocy nie kładła się nigdy, dopóki nie wrócił. Rozbierała się wprawdzie, ale bosa i w koszuli siedziała przy oknie, patrząc w ciemną jamę bramy, czy nie dojrzy wysuwającej się z ciemności eleganckiej postaci męża. Gdy nie wracał długo, z najwyższym niepokojem śledziła godzinny i przyciskając ręce do piersi, szepiała:

— Boże mój! Niech on już wróci!...

Zdawać by się mogło, że to namiętna kochanka oczekuje swego wybranego na pierwszą schadznię miłosną — jednak!... jakże dalekie od namiętności było uczucie kładące w spieczoną od gorączki wargi tej kobiety modlitwę szczerą, prawie dziecięcą.

— Niech... koteczek wróci!...

A potem ten powrót koteczka nie dawał jej żadnej pieszczoty miłosnej, żadnej chwili tej rozpaczliwej rozkoszy, która jęk prawie z piersi kobiety wydiera.

Koteczek wchodził wolno, systematycznie, nakręcał zegarek, zapalał papierosa, zmienił obuwie, wystawiając je za drzwi pokoiku, wyciągał z krawata elegancką szpilkę i chował ją w etui.

Wszystko to robił z właściwą sobie gracją, nie spojrzawszy nawet na żonę, która spoza przymkniętych powiek śledziła jego czynności, cała w ciągłym wyczekiwaniu jakiegoś dobrego słowa, przyjaznego spojrzenia ze strony męża. Nic, nic!

Koteczek zasypiał, uśmiechając się do wrażeń w ciągu wieczora otrzymanych, do jakichś wspomnień... na myśl których przeciągał się rozkosznie.

Ona śledziła go ciągle, śledziła uważnie.

Słabe światelko lampki płonącej przed Matką Boską oświecało w zupełności różową twarz mężczyzny, lubieżny wyraz ust, tęgą szyję wychylającą się spod ukraińskich haftów nocnej koszuli.

Instynkt samicy ostrzegał ją, że nie o niej, nie o jej uległości i żółklej twarzy myśli w tej chwili ten człowiek.

Lecz tak wierzyła mu, tak bardzo ufała w jego „małżeńską uczciwość”, że myśl zdrady nie powstała nigdy w jej głowie.

Myśli pewnie o gratyfikacji, a może... może o niej!

Wszak wczoraj jeszcze, wychodząc, powiedział:

— Dla kogoż się zapracowuję, jeśli nie dla ciebie? — Biedny! Drogi koteczek!...

Ach! Ona by życie swoje dla niego oddała!

I leżała tak cicho, nie śmiejąc się poruszyć, drętwiejąc w jednej pozycji, aby nie zbudzić koteczka, który w tej chwili uśmiechał się, jak tylko nasyceni mężczyźni uśmiechać się umieją!

Kareta ruszyła wreszcie z miejsca.

Lecz pani Lena była dnia tego w złym humorze.

Na próżno siedzący obok niej mężczyzna uśmiechał się i usiłował umieścić dogodnie jej kapeluszyk, cały z brązowego tiulu, istne pieścidełko wydmuchane z purpurowego obłoczka. Na próżno, zdjawszy jej rękawiczki, związał je starannie i wsuwał pomiędzy poduszki powozu, na próżno chwalił jej nowy dolman⁵, na który wyszło z pięćset łokci koronki; ona siedziała ciągle chmurna, z brwiami ściągniętymi, z twarzą gniewnie wykrzywianą.

— Dlaczego tak późno przyjechałeś? — zapytała wreszcie, zwracając się twarzą do swego towarzysza.

— Nie mogłem! Wierz mi! — tłumaczył się mężczyzna.

— Dlaczego?

— Bo!... bo!... mieliśmy gości!... — odparł, udając nonszalancję i oglądając sobie paznokcie.

Znać było, że błądzi, lecz ona nie poznała się na tym.

— Kto był? — nalegała już trochę udobruchana. — Kobiety?

— O, zaledwie kilka! Kuzynka Esterghazy z córką, wiesz... ta hrabina!

Ona potwierdziła spieszenie.

— Tak! Tak! Mówiłeś już mi o niej, a z mężczyzn?

— Zwykli goście czwartkowi.

— Więc to *jour fixe*⁶?

— Tak!... *five o'clock tea*⁷.

Rzucił wyraz angielski, posłyszany kiedyś ze sceny w teatrze, który zapamiętał i używał w razie potrzeby, co nigdy nie chybiało efektu. I teraz dosięgnął celu.

Kobieta siedząca obok niego zdawała się na chwilę przybita posłyszonym słowem.

Lecz prędko odzyskała równowagę.

— Nie wiem, czy to wygodne — wyrzekła — wolę już urządzić *receptions matinales*⁸...

⁵dolman — turecki a. węgierski strój pod kurtkę. [przypis edytorski]

⁶jour fixe (fr.) — przyjęcie. [przypis edytorski]

⁷five o'clock tea (ang.) — herbatka o piątej. [przypis edytorski]

⁸receptions matinales (fr.) — poranne przyjęcia. [przypis edytorski]

Spojrzała na niego triumfująco.

On wzruszył ramionami.

— Zapewne, lecz już cały dzień jest zderanżowany⁹.

Pochylił się teraz nad podbitą już kobietą.

— No, cóż?... darujesz mi to opóźnienie? — szeptał miękkiem głosem — wierz mi, tylko obowiązki światowe mogły powstrzymać twego koteczka; wierzysz mi? No... Lena!...

I objął ją ostrożnie, cofając się w tył, gdyż karetą skręcała w ciałniejszą ulicę, a na chodnikach kręciło się sporo przechodniów.

Lena potrząsnęła wspaniałomyślnie głową. Dobrze! Przebacza mu, ale pod warunkiem, że to będzie raz ostatni... zapewne nie wie, że i ona ma obowiązki światowe, które trzymają ją poniekąd na uwięzi; jeśli on ma żonę prowadzącą dom otwarty, ona nawzajem ma męża, który od niej pewnych ustępstw światowych wymaga, a przecież...

On przyznaje jej rację, cały rozplomieniony tak bliską obecnością tej kobiety, której pełny gors i błyszczące oczy działają na niego jak rozpalający trunek — ostrożnie, delikatnie szuka jej ręki w całych falach koronek i rękę tę znalazłszy całuje długo, wysysając paluszki o krogulczo zagiętych paznokciach.

Ona poddaje się tej pieszczocie, jak kobieta przyzwyczajona do podobnego rodzaju objawów powstrzymywanej namiętności, drugą ręką zasłania sobie twarz, gdy karetą nadto się zbliży do chodników.

Czyni to z wprawą wielką, w ogóle czuje się zupełnie swobodnie w tej ciasnej atmosferze powozu, w której cudzołóżne szepty, śmiechy, pocałunki zdają się drzemać wśród zagięć zniszczonego sukna okrywającego poduszki.

— Gdzie dziś pojedziemy? — pyta koteczek.

— Gdzie chcesz... — odpowiada Lena — byle nie do Marcelina.

— Masz rację, kuchnia tam wcale¹⁰ nieszczególna.

— O, tak! Bordeaux niepodobne do picia...

I znów zaczyna grać ze sobą komedię tych dwoje ludzi, którzy się poznali pod cieniem drzew Saskiego Ogrodu i nic prawie nie wiedzieli o sobie ani o swej pozycji socjalnej.

Ona — miała w sobie popsutą krew trzydziestoletniej kobiety, wiecznie niezadowolonej ze swego otoczenia, obnoszącej w czarnych oczach i pełnych kształtach chęć nieprawych rozkoszy i zakazanych wycieczek. Pozowała jednak przed nim na „dame” — wykwintną i wytworną — pragnęła mu imponować koronkami, wziętymi na kredyt, i francuszczyzną, zapożyczoną z *Rozmówek* pani Bocquel.

On — dokładał wszelkich usiłowań, aby ująć w oczach tej wykwintnej damy za człowieka bogatego, prowadzącego dom na wielką skalę. Olśniewał ją szpilkami u krawatów, jasnymi garniturami i znajomością gabinetów restauracyjnych, po których włóczyli się często, siedząc do późnej nocy i rozstając się w pełni niesmaku i chęci ponownego zejścia się, aby nawzajem udawać przed sobą wytworne maniery i... namiętne porywy.

Karetą wjechała teraz w ulicę Mokotowską i powoli skręcała na lewo.

Wozy z beczkami zastąpiły jej drogę, woźnica wstrzymał konie na chwilę.

Koteczek wychylił głowę.

— Cóż tam? Dlaczego stajesz?

Nagle cofnął się w głąb powozu.

Towarzyszka mimo woli spojrzała w otwarte okienko.

Na chodniku, pomiędzy gromadką bosych dzieci czekających na opróżnienie ulicy, stała ciemno, ubogo ubrana kobieta w zniszczonym kapelusiku na pochylonej głowie.

W tej chwili kobieta ta z wyrazem zdumienia na poźółkłej twarzy wpatrywała się w okienko karety, a z wół otwartych ust zdawał się ulatywać jakiś głos stłumiony.

Pani Lena odwróciła się i spytała szybko:

— Patrz!... Ta kobieta dziwnie tu spogląda, czy może znasz ją?

Lecz mężczyzna nie ruszył się nawet, przytulony do kąta karety, niktzemny, nędzny w tej trwodze, jaka zwykle ogarnia każdego z nich na widok zdradzonej kobiety.

— Siedź spokojnie! — wyrzekł — to szwaczka mojej żony!...

⁹zderanżowany (z fr.) — tu: zdezorganizowany. [przypis edytorski]

¹⁰wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

Kareta ruszyła wreszcie z miejsca, obryzgując błotem stojącą na chodniku kobietę.

Ona patrzyła jeszcze długą chwilę, zdumiona, przerażona, powtarzając cichutko:

— Koteczek? Koteczek?

Lampka przed Matką Boską dopalała się prawie, a nikt nie myślał o dolaniu oliwy.

Cicho było bardzo w sypialnym pokoiku. Obydwa łóżka małżeńskie były próżne, choć już druga wybiła na kuchennym zegarze.

Józia, boso i w koszuli, siedziała skulona na oknie, czekając na powrót męża.

Była bardzo wzburzona, niespokojna, smutna. Wszakże to wracając od fanciarki dostrzegła w karecie obok jakiejś ładnej kobiety mężczyznę tak bardzo podobnego do koteczka!

Lecz cóż by jej koteczek robił w karecie o tej porze i to jeszcze z jakąś damą?... A może to dyrektorowa biura spotkała go i wzięła na przechadzkę...

Szukała teraz w swojej biednej głowie rozmaitych kombinacji, potykając się co chwila o jakąś myśl zbyt trudną...

Nie — stanowczo zrozumieć tego nie mogła.

By mąż ją zdradzał — nie przeszło jej nawet przez głowę, jej koteczek, skądże znowu?

Zanadto czystą, niewinną była w swym zastoju moralnym; zdradzać? — tak!!! Tak! To istnieje w książkach, na scenie, ale w życiu!...

Gdy przyszła od fanciarki, policzyła bieliznę, pocerowała skarpetki, zrobiła rachunek ze służącą, zadysponowała obiadem, a teraz, posławszy łóżka, usiadła w oknie, czekając męża.

Noc zapadła, noc ciemna, wietrzna, chłodna. Z zaciemionego dziedzińca, po zamknięciu bramy wzbil się w górę silny zaduch wylewanych przez dzień nieczystości.

Ona — otworzyła lufcik i przechyliła swą biedną, znękaną głowę. Smrodliwe powietrze owiało ją. Ona — nie czuła tego zaduchu, przyzwyczajona do tej atmosfery, którą wciągała w siebie nocami całymi. Przechyliła głowę i patrzyła wciąż w czarną przepaść podwórka.

Czekała.

Lecz on nie wracał, rozkoszując się w tej chwili wonią rozkwitłego bzu w podmiejskim ogrodzie i ciepłymi wargami kochanki, z których zbierał krople wina i słodycz kompotowego syropu.

Siedzącej w lufciku kobiecie wiatr rozwiewał rzadkie włosy i ziębił plecy. Ona — skurczyła się jeszcze bardziej, podsuwając pod siebie chude, żółtkłe nogi.

Jeść się jej chciało, obejrzała się na kredensową szafkę majaczącą w półcieniu. Była tam wprawdzie pieczeń pozostała z obiadu, ale koteczek dysponował barszczyk na jutrzejszy obiad, z pieczeni będą uszka... nie można więc poruszyć, nie można!...

Józia zwinęła się teraz prawie w kłębek i głowę smutnie zwiesiła.

Jakoś jej tak smutno! Tak bardzo, bardzo smutno, jak nigdy nie było!

Dlaczego?

Wszak on wraca tak codziennie, wraca późno, a ona czeka nań i zimą, i latem, skurczona przy szybie, pełna niewytłumaczonej chęci ujżenia go powracającego.

Zegary miejskie biją w pół do trzeciej.

Na twarzy Józii płyną dwie wielkie, gorące łzy, zamiast serca czuje, że jej się otwiera rana... rana ta piecze, boli, pali jakby zarzewie... a wynędniałe usta szepczą:

— Boże!... Niech koteczek wróci!...

Jej koteczek.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/menazeria-ludzka-koteczek>

Tekst opracowany na podstawie: Gabriela Zapolska, *Menazeria ludzka*, Kantor Wydawniczy SAWW, Poznań 1994.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: futureshape@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.